

Farsa

30 marca 2014

Historyczna tragedia powtarza się jako farsa. Ta stara marksowska maksyma dobrze oddaje wojenne podniecenie, jakie ogarnęło euroatlantyckie elity i media na początku marca. Nieco mniej niż 100 lat temu Europa pogrążyła się w podobnym szaleństwie. Wówczas, w 1914 r. skończyło się to pierwszą globalną hekatombą w historii i ponad 10 milionami ofiar. Dziś, farsowy wymiar powtórki podkreśla całkowicie bezkrwawy (jak dotąd) charakter konfliktu. Rosyjska interwencja na Krymie wywołała jednak demony militarizmu i szowinizmu na ogromną skalę. Szczególnie w Polsce język rządu, polityków, mediów i Internetu eksplodował lokalną odmianą rusofobii. Łączy ona elementy kompleksów słabszych wobec wschodniego mocarstwa i pogardy dla niego, ugruntowanej na przekonaniu o własnej wyższości cywilizacyjnej. Nie ma żadnych wątpliwości, że antyrosyjska histeria jest rozkręcana przede wszystkim dla osiągnięcia wewnętrznych celów politycznych, i że jej beneficjentem będzie polska prawica. Tym bardziej farsowo brzmią antyrosyjskie głosy części naszej lewicy. Ich autorzy stracili kontakt z rzeczywistością – czują się chyba częścią dowództwa NATO, skoro nawołują do przykręcania śruby Moskwie, a potrząsanie szabelką okraszają obłudnym moralizatorstwem zakładającym, że ich czytelnicy są zgrają ignorantów, nieświadomych roli jaką Zachód pełni dziś w świecie. Podobna aberracja dotknęła większość niemieckiej lewicy w 1914. Także i wtedy wrogiem była Rosja. Nieoceniona i wciąż aktualna Róża Luksemburg wspaniale opisała nacjonalistyczny amok, który ogarnął większość jej towarzyszy z ówczesnej socjaldemokracji. Zawodowi internacjoniści i antymilitaryści w ciągu jednej nocy zmienili się w wojennych podżegaczy, nawołujących cywilizowany rzekomo Zachód do walki z barbarzyńskim imperium rosyjskiego samodzierżawia. Dzisiejszy dyskurs proatlantyckiej lewicy różni się tylko tym, że w miejsce hord kozaków zagrażających czci dam przechadzających się po Unter den

Linden podstawia zrównanie Putina z Hitlerem, a wszelkich negocjacji i kompromisów z kapitulacją w Monachium.

Czy rzeczywiście chodzi o obronę Ukrainy, która wybiła się na polityczną wolność? Byłaby to wielka osobliwość w polityce państw NATO, które w ostatnich dwóch dekadach nie dały zbyt wielu dowodów przywiązania do wartości demokratycznych i zasady samostanowienia narodów. Przypomnijmy np., że Arabska Wiosna nie tylko nie wzbudziła sympatii na Zachodzie, ale wręcz wywołała konsternację i obawy. Bardzo znaczące, że ci sami, którzy dziś nawołują do obrony rewolucji kijowskiej przed rosyjską interwencją nie widzieli żadnych powodów do zajmowania stanowiska, gdy wojska totalitarnej Arabii Saudyjskiej wkraczały do Bahrajnu, by zdusić płomień tamtejszej antymonarchicznej rewolucji. To było raptem 3 lata temu. Nie trzeba jednak sięgać w przeszłość. W tym samym czasie, gdy klasy polityczne Unii Europejskiej wysyłały swych przedstawicieli na kijowski Majdan masowe protesty ogarnęły Bośnię. Jeżeli antyoligarchiczne hasła wznoszone na Ukrainie budziły powszechną sympatię unijnych polityków, to podobne żądania zrewoltowanych Bośniaków wręcz przeciwnie. Wysoki Przedstawiciel w BiH Valentin Inzko po prostu zagroził wojskową interwencją Unii. Czy nam to czegoś nie przypomina? Na przykład retoryki Moskwy? Różnica jest taka, że siły zbrojne krajów UE stacjonują już na całym obszarze BiH. Ciekawe też, że o ile obecność skrajnej prawicy w głównym nurcie rewolucji ukraińskiej nie przeszkadza Zachodowi, to zdecydowanie antynacjonalistyczne ostrze ruchu protestu w Bośni nie jest w stanie wzbudzić sympatii w stolicach UE.

Podobnie zasada samostanowienia i nienaruszalności terytorialnej, której tak dziś bronią na Ukrainie, od lat przecież stanowi przedmiot krytyki rządów zachodnich. I nie tylko krytyki, ale jak najbardziej praktycznego kwestionowania. Rozpad Jugosławii, secesje Kosowa, Timoru Wschodniego, Sudanu Południowego, kurdyjskiej części Iraku nie byłyby możliwe bez autoryzacji i poparcia Waszyngtonu i jego

sojuszników.

Na koniec zapytajmy jaką wartość ma wsparcie zrywu antyoligarchicznego przez USA, które konsekwentnie sponsorują oligarchiczne zamachy przeciw lewicowym rządów w Boliwii, Wenezueli, Hondurasie i Paragwaju?

Jest wystarczająco dużo powodów aby retorykę Zachodu odłożyć tam gdzie jej miejsce – na śmietnik. W konflikcie z Rosją nie chodzi mu ani o demokrację, ani o suwerenność Ukrainy, tak jak Rosji nie chodzi o ludność Krymu czy Doniecka. Ogarnięty rewolucją kraj stał się dziś polem rywalizacji mocarstw, która stanowi śmiertelne zagrożenie dla tej rewolucji. W optyce Białego Domu czy Kremla, tak bliskiej także naszemu MSZ-owi, Ukraina to region geopolitycznej gry, szachownica, na której Ukraińcom przyznano status pionków. Rosja chce zachować strefę buforową oddzielającą jej granice od granic NATO. Zachód ma ochotę tę strefę przejąć, wykorzystując do tego ukraińskie aspiracje do wyzwolenia od wpływów Moskwy (tak jak to czyni od początku lat 90. w całej przestrzeni poradzieckiej). Dążenia Ukraińców pełnią tu mniej więcej taką rolę jak aspiracje Jugosłowian w rywalizacji Rosji i Austro-Węgier w roku 1914.

Rosyjskim narzędziem tej rywalizacji została część polskiej lewicy, która wbrew oczywistym faktom chce widzieć w Moskwie alternatywny biegun wobec atlantyckiego imperializmu. Zimnowojennej retoryce antyrosyjskiej przeciwstawiają retorykę „antyfaszystowską”, oskarżając Majdan o neonazistowski pucz. Zwolennicy tej tezy występują w sojuszu ze skrajną prawicą narodową i środowiskami kresowymi marzącymi o nowym rozbiórce Ukrainy, i restytucji polskiej obecności kolonialnej w tym kraju.

Pożyteczni idioci imperializmu Zachodu i Moskwy są warci siebie. W równym stopniu przyczyniają się do marginalizacji antyoligarchicznego wymiaru ukraińskiej rewolucji, który przecież łączy ją z ruchami protestu w Bośni, Grecji, Hiszpanii i innych krajach pod panowaniem oligarchicznego

kapitalizmu.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)